

Mahanoro, dnia 21 kwietnia 1981 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Niezapomnianym dla nas dniem pozostaje niedziela, 5 kwietnia. Trzy miesiące przeżyliśmy w małym i spokojnym, ośmiotysięcznym miasteczku Mahanoro. W piątek, dwa dni przed uroczystym dniem, poleciliśmy samolotem do wielkiego miasta, które jest stolicą prowincji na wschodnim wybrzeżu Czerwonej Wyspy. Tamatawa wydała mi się prawdziwą metropolią z wysokimi piętrowymi budynkami, bardzo dobrze zaopatrzonymi magazynami i dużymi sklepami, dwoma kinami, wielkim portem, asfaltowanymi ulicami... takie superlatywy można by wymieniać przynajmniej na całą stronę papieru listowego. Dlatego odwołuję moją opinie dotyczące malgaskich miast z pierwszego listu po przyjeździe z Paryża na Madagaskar, który jako okłamujący rzeczywistość należy bezwzględnie spalić.

Okazją do wyjazdu były Święcenia Kapłańskie w kościele Świętego Pawła w Tamatawie. Rzecz interesująca, iż święcony Diakon Edward nie był ani jednego dnia w Seminarium i teologii uczył się sam mieszkając na Biskupstwie. Przez wiele lat był Bratem w Zgromadzeniu Braci Szkół Chrześcijańskich, nawet dyrektorem szkoły Matki Bożej z Lourdes w Tamatawie. Ale zapragnął zostać kapłanem i taką niecodzienną drogę wskazał mu ksiądz Biskup Jérôme Razafindrazaka. Uznawszy, iż Brat Edward jest przygotowany, Ksiądz Biskup zapowiedział tę wielką i radosną uroczystość. Przynajmniej dwudziestka księży uczestniczyła w Święceniach. Ja od moich własnych Święceń Kapłańskich nie widziałem takiej liturgii. Ksiądz Edward jest siódmym kapłanem malgaskim naszej diecezji. Wśród wielu prezentów otrzymał jeden z ornatów, które dotarły do nas z Polski. Obiad zjedliśmy pod zadaszoną częścią dziedzińca szkoły sióstr Świętego Józefa z Cluny. Przygotowany został przez Malgasy, więc ryżu nie mogło brakować. Bezpośrednio po obiedzie udaliśmy się do naszych pokoi na Biskupstwie na sjęstę. Nie przeciągnęły się zbyt długo przemówienia ani uroczystość, wszystko przeszło gładko. Ksiądz Biskup nie zapomniał, że my nie mamy tu samochodu. Misjonarze jeszcze długo będą tu potrzebni, gdyż najbliższe święcenia są przewidziane za trzy lata, o ile wszystko dobrze pójdzie.

Ciekawostką była przygoda związana z powrotem do Mahanoro. Mieliśmy bilety powrotne na wtorek, ale agencja lotnicza w Tamatawie stwierdziła, że nie ma już wolnych miejsc w samolocie i kazano nam czekać aż do piątku. Tymczasem we wtorek czekano na nas na lotnisku i z samolotu... ani jedna osoba nie wysiadła. Mogliśmy więc przylecieć tym samolotem, ale trzeba było pojechać na lotnisko nie wierząc urzędnikowi w biurze lotniczym. Urzędnik w agencji lotniczej miał listę, na której było zaznaczone, że wszystkie miejsca są zajęte. Jednak nie miał odnotowanych nazwisk i dlatego wszyscy pasażerowie mający bilety na wtorek przylecieli samolotem w piątek. Ja zaś postanowiłem te trzy dni wykorzystać i poszedłem do dentysty w celu wypełnienia dziury w martwym zębie. Zrobił to szybko, chociaż odwiedziłem jego gabinet dwukrotnie. Stwierdziłem, że za wszelką cenę trzeba unikać tych ludzi, którzy potrafią dobrze rwać, ale czy leczyć? Na nieszczęście, trzy dni po powrocie z Tamatawy złamałem inny ząb, też martwy, jedząc misjonarski chleb, który wcale nie był twardy. Jeden z misjonarzy mieszkający w Vatomandry odwiedził nas i pojechałem z nim do dentysty. Przydałaby się korona, ale dentysta nie miał materiału na jej zrobienie. Ząb nieco wystaje z dziąsła, nie może boleć, więc nie przystałem na propozycję wyrwania go. Bolał nie będzie przez te trzy lata do urlopu w Polsce, a może uniknę wykrzywienia się zębów sąsiednich. Z takim twierdzeniem zgodził się malgaski dentysta przyjmujący mnie bezpłatnie i poza kolejną. Przez dwa dni nie znalazłem samochodu i do domu w Mahanoro powróciłem samolotem, chociaż to tylko 68 km.

Dotychczas pisałem listy w imieniu całej piątki polskich Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej na Madagaskarze, ale Święta Wielkanocne i nasze pierwsze misyjne doświadczenia sprawiły, że już każdy z nas przeżywa coś innego. Jeszcze w Niedzielę Palmową byliśmy razem i świętowaliśmy królewski wjazd Pana Jezusa do Jego Świątyni. Na Madagaskarze mieliśmy autentyczne palmy, przynajmniej dwumetrowej długości gałęzie, z rosnących drzew wokół misji.

Każde święto należy starannie przygotować i to dotyczy także Palmowej Niedzieli. Tego dnia wszyscy zgromadzili się przed domem misyjnym wokół stołu, na którym były poukładane różnej wielkości gałązki palmowe. My wyszliśmy z domu już w albach i stułach przygotowani do odprawienia Mszy Świętej. Po wysłuchaniu Ewangelii o wjeździe Pana Jezusa do swojej Świątyni, modlitwie błogosławiącej palmy i pokropieniu wodą święconą każdy otrzymał odpowiednią palmę i ze śpiewem wyruszyliśmy do kościoła tworząc asystę ojca proboszcza, francuskiego Montfortena. Dzieci otrzymały bardzo długie i wąskie liście z rafii i porobiły z nich krzyże wysokości 25-35 cm. Procesja jest imponująca, jeszcze bardziej imponująco wyglądają palmy trzymane w rękach wszystkich modlących się w kościele, po prostu gdzieś wystają głowy z bujnej i świeżej zieleni wypełniającej kościół. Po Mszy Świętej każdy zabrał swoją palmę do domu, aby w przyszłym roku przynieść ją do kościoła przed Środą Popielcową. Zabrałem swoją także i ja, przywiązałem do krzesła, na którym siedzę pisząc ten list do Was. Z pewnością wytwarza trochę odmienny nastrój w mieszkaniu o szarych ścianach, z prostymi meblami stojącymi na ponurej, cementowej podłodze.

Przed Niedzielą Palmową zakończyliśmy też naukę języka malgaskiego. Między „Bogiem, a prawdą”, była to nauka gramatyki języka malgaskiego i ja niewiele rozumiem ludzi, którzy próbują mi coś zakomunikować. Jest to raczej rozmowa na migi przy dobrej wyobraźni. Chciałbym zobaczyć na moim miejscu autora notatki w „L'Osservatore Romano”, który poinformował cały świat, że *„po trzech miesiącach nauki języka malgaskiego piątka polskich Oblatów Maryi Niepokalanej rozpocznie pracę duszpasterską”*. Z pewnością ja do nich nie należę. Zaczynam już nieco rozumieć, gdy sam dla siebie czytam malgaski tekst. Mogę już powiedzieć, co chcę kupić, odprawić Mszę Świętą po malgasku, ale nie mogę przeczytać czy napisać kazania.

Na Święta Wielkanocne rozjechaliśmy się do różnych misji. Mnie z Ojcem Romanem wypadło spędzić cztery dni w Ambinanindrano (po polsku znaczy to: "tam, gdzie schodzą się wody", czyli gdzie jedna rzeka wpada do drugiej). Opuściliśmy misję w Wielką Środę, dnia 15 kwietnia, o godzinie 7-ej w samochodzie prowadzonym przez naszego nauczyciela języka malgaskiego, Ojca Lucjana, francuskiego Montfortena. Czekają nas 70 kilometrów drogi. Odcinek pierwszy, około 23 km, od Mahanoro do przejazdu przez rzekę Mangoro (co znaczy „hucząca”) jest piaszczysty i wystarczyła nam jedna godzina bez atrakcji. Przejechaliśmy obok ośrodka w Marotsiriry nie wstępując. Trudno mi jest określić nawet w przybliżeniu szerokość tej rzeki, ktoś już podał liczbę 600 metrów. Prom płynie kilkanaście minut. Z promu droga ostro pnie się w górę i po przejechaniu wioski wjeżdżamy w teren pagórkowaty i górzysty przypominający polskie Bieszczady. Droga wąska, pełna zakrętów, a bujna roślinność utrudnia widoczność i niełatwo wyminąć się z pojazdami lub wyprzedzić traktor. Na szczęście, bardzo rzadko widzimy jakiś pojazd, a wtedy kierowcy zatrzymując się wymieniają krótkie informacje, zwłaszcza dotyczące napotkanych innych pojazdów, aby uprzedzić o ewentualnym i zawsze niebezpiecznym spotkaniu. Do pięćdziesiątego siódmego kilometra wysiadaliśmy z samochodu pięciokrotnie. Dwukrotnie potrzebna była nasza czynna pomoc przy wypychaniu pojazdu z błota. Nawierzchnię drogi tworzy mieszanka gliny, kamieni i wody. O godz. 10³⁰ zajechaliśmy do wioski Ampitabe kończącej drugi odcinek drogi. Wioska liczy 400 mieszkańców, a katolicy mają swój drewniany kościółek. Tutaj w sklepie prowadzonym przez Chińczyka zjedliśmy obiad i zasięgnęliśmy informacji dotyczących dalszej drogi. Trzeci odcinek jest najtrudniejszy. Godzinę potrzebowaliśmy na przejechanie dziesięciu kilometrów, po czym samochód ugrzązł w koleinie wypełnionej wodą. Trzeba było użyć łopaty i kanałem odprowadzić wodę na pobocze. Gdy cała operacja była skończona, Ojciec Roman jakby zapadł się w rowie, mając widoczną tylko głowę wśród zarośli. Bezwiednie stanął na cementowym obramowaniu mostka, zupełnie przez nas niezauważonego. Skończyło się tylko na zranieniu dwóch palców. Przejechaliśmy jeszcze 300 metrów i samochód już na dobre ugrzązł w błocie. W tej wiosce mieszkał kierowca i mechanik, znajomy Ojca Lucjana, więc otrzymał kluczyk od samochodu. My wzięliśmy nasze bagaże i ruszyliśmy piechotą przy deszczowej pogodzie. Ja miałem swoje rzeczy w plecaku. Założyłem

cienki, jednorazowego użytku, płaszcz plastikowy i bez trudu przeszliśmy dwa i pół kilometra przez pół godziny.

Wchodząc do Ambinanindrano o godzinie 14-ej ujrzelśmy piękny dom Braci Norweskich, zwany domem Misjonarza. Nieco dalej, przy samej drodze, stoi drewniany zaniedbany budynek, o którym nasz przewodnik powiedział, że jest to stary kościół katolicki, obecnie wypożyczony miastu na szkołę. Obok, nieco oddalony od drogi, u stóp pagórka, jaśnieje pomalowany na biało piękny murowany kościół zbudowany przez włoskiego misjonarza. Oczarował nas swoim widokiem: jasne ściany, w oknach „witraże”, czyli kolorowe szybki, za cementowym ołtarzem wspaniale imitującym marmur zawieszony duży krzyż, wśród promieni namalowanych na ścianie. Przed prezbiterium po bokach na ścianie dwie figury: Matka Boża Królowa po prawej i Święty Józef po lewej stronie. Przy drzwiach wejściowych worki z cementem i deski zagradzają drogę do konfesjonałów. Za zasłonami po obu stronach prezbiterium są szafy z miejscem na ornaty, zabrudzone ampułki, dwie łódki z zapleśniałym kadzidłem, trybularz, dużo kościelnej bielizny. A trzeba pamiętać, że już od sześciu lat nie mieszka tu żaden misjonarz i tylko na większe święta, kilka razy do roku, przyjeżdża ksiądz z Mahanoro. Misję musieli opuścić misjonarze z powodu malejącej liczby kapłanów w diecezji: 55 kapłanów w 1965 r., 35 kapłanów w dziesięć lat później - i to zadecydowało o liście księdza biskupa skierowanym do przełożonego naszego Zgromadzenia z prośbą o przybycie Oblatów do diecezji Tamatawy.

Od kościoła była widoczna smukła dzwonnica przed niewidocznym z dołu domem ojców stojącym na szczycie pagórka, na który prowadziły trzy drogi. Na prawo jest droga dla samochodów, która okrążała dom misyjny. Środkowa ścieżka wydawała się zarosnięta i biegła pod drzewami *lecz*. Trzecia, szeroka i nieco wklęsła, ze stopniami wygładzonymi przez ściekającą wodę, przypominała rynnę, doskonale nadającą się na tor saneczkowy, bez śniegu, jednak bardzo śliski. Schodzący wyszukuje kępki trawy, które ustrzegłyby go od poślizgu i szybkiej jazdy bezpośrednio do zakrystii.

Dom misyjny, drewniany, długi na 17 metrów, parterowy, z podłogą położoną na palach, jak wszystkie drewniane domy w bardzo wilgotnym klimacie na wschodnim wybrzeżu, został „nadwreżony” przez cyklonik i jest pochylony w kierunku kościoła. Do głównego pokoju służącego za jadalnię, pokój wspólny i biuro prowadzą drzwi przypominające raczej wrota do stodoły, podobnie wyglądają wielkie drzwi z drugiej strony tego pokoju. Mniejsze pokoiki są przyjemniejsze, z drzwiami delikatniejszymi, bez szyb w oknach, zamykanych okiennicami z grubych desek. Przeciekający dach z blachy, podłoga przypomina trampolinę: śpiący za ścianą budził się, gdy sąsiad poruszył się na swoim łóżku. Książki pozostawione przed sześciu laty są w dobrym stanie w bibliotece zrobionej z desek heblowanych siekierą: każda deska grubości 3-6 cm. wyciosana z jednego okrągłaka. Obok domu ojców znajduje się dom stróża, który zajmuje się plantacją kawy, drzew owocowych i ryżu na misyjnym terenie. Ogrodem opiekuje się dobrze, a teraz dał się nam poznać jako dobry kucharz. Na razie jednak każdego dnia korzystamy z obiadów i kolacji przygotowywanych przez inną rodzinę. Późnym wieczorem do misji dochodził śpiew pieśni religijnych. Taki mają zwyczaj ludzie tutaj mieszkający. A my przy lampie naftowej odmówiliśmy brewiarzowe modlitwy, zjedliśmy kolację i mieliśmy chęć tylko na rozmowy.

Na nabożeństwa przychodziło niewiele ludzi, ale i tutejsza wspólnota katolicka jest niewielka. Pierwszą Mszę Świętą odprawialiśmy w środę wieczorem, o godzinie 16-ej. Sześciu bosych chłopców ubranych w białe alby założyło duże krzyżyki z drzewa koloru brązowego. Śpiewy podczas Mszy Świętej były wspaniałe. Po Mszy Świętej spotkania z różnymi grupami. My mogliśmy pomagać w spowiadaniu dzieci mających przystąpić do Pierwszej Komunii Świętej i przed samą Mszą Świętą także starszych. Jedna z lekcji języka małgaskiego była poświęcona nazwom grzechów. Zналиśmy na pamięć formułę rozgrzeszenia, ale na krótką naukę po wyznaniu grzechów nie było mnie stać.

O godzinie 16-ej rozpoczęło się także nabożeństwo wielkoczwartkowe, podczas którego dziewczynki z zazdrością patrzyły na dwunastkę mających przystąpić do Pierwszej Komunii Świętej chłopców, jak udawali Apostołów, którym ksiądz=Pan Jezus umywał nogi. Po Mszy Świętej grupa dziewcząt przed domem misyjnym zaśpiewała nam trzy pieśni: powitalną, parafrazę o synu marnotrawnym i pożegnalną, aby w ten sposób uczcić nasze kapłańskie święto.

W tym czasie niektórzy pozostawali w kościele adorując Pana Jezusa, chociaż tutaj nie można nazwać Ciemnicą Ołtarza Adoracji, gdyż inaczej jest przystrojony i daje inny nastrój, niż w Polsce. Ale ludzie modlą się w skupieniu.

W Wielki Piątek liturgia bez Mszy Świętej jest długa, zawsze piękne śpiewy, bez wydłużania, ale też bez zniecierpliwienia. Nie ma Grobu Pańskiego, na ołtarzu pozostaje tylko Krzyż i po zakończeniu liturgii wszyscy udają się do swoich domów.

Możemy tylko pomarzyć o przygotowaniu święconki wielkanocnej. Ojciec Lucjan ma trochę zajęć, wciąż o coś proszony, a my na razie tylko patrzymy i rozmawiamy po polsku między sobą. Znów o 16-ej, a więc jeszcze przed zachodem słońca, rozpoczynamy wielkosobotnią liturgię od poświęcenia ognia na progu wielkich drzwi kościoła. Pałą się, a raczej się żarzą węgle w żelazku. Wodę przyniesiono w bambusach i tą wodą już w Wielkanoc ochrzczono 13 dzieci. Chociaż Paschału do tej wody nie wkładano, ponieważ... nie udało się zdjąć z wielkiego świecznika.

Na Wielkanocną Mszę Świętą przybyło więcej ludzi, nie zabrakło też katechetów z niektórych wiosek. Procesji wielkanocnej nie ma. Przed błogosławieństwem Ojciec Lucjan złożył życzenia chrześcijanom, zaś miejscowy katecheta wygłosił długą przemowę, z której zrozumieliśmy tylko tyle, że są to ich życzenia dla nas, poparte kopertami wręczonymi nam przez trzy dziewczynki ubrane w białe sukienki. Zastanawialiśmy się tylko, dlaczego w każdej z trzech kopert była inna kwota pieniędzy? Czym się kierował katecheta czy skarbnik w radzie parafialnej? Po Mszy Świętej grupa dziewcząt znów nam zaśpiewała kilka piosenek, wydobywając z siebie nienaturalnie wysokie tony. Nikt jeszcze nie udał się do domu, bo przed kościołem rozpoczęła się licytacja darów przyniesionych na dzisiejsze święto. Ludzie angażują się uczuciowo i niejednokrotnie przepłacają świadomi, że pieniądze zasilą kasę parafialną, która i tak bez pomocy misjonarza nie byłaby w stanie pokryć wydatków związanych z funkcjonowaniem kościoła.

Teraz nadszedł czas zgorszenia moich Miłych Czytelników, którzy egzaltując ofiarę i zajęcia misjonarza zupełnie zapominają, że jest on też człowiekiem i też musi jeść. Zgorszeni będą wszyscy przeczytawszy, jakie owoce jemy żyjąc na misjach: ananasy, mandarynki, pomarańcze, cytryny - wszystkie w obfitości, a jeszcze są takie, których nawet nazwy w Polsce nie znacie. Przez cały czas pobytu w Ambinanindrano nie jedliśmy chleba. Podstawą pożywienia był ryż z sosem i „sałatą” malgaską przypominającą mi polskie zielsko zamoczone w wodzie. Było też mięso. Na śniadanie był gotowany maniok, w smaku zbliżony do ziemniaków. Wspaniały obiad przygotowała nam Chinka, która jedzenia nie przyniosła na misję, lecz zaprosiła do swego domu. Ogólnie oceniając, jedzenie było dobre. Przyjęcie nas przez ludzi też było bardzo życzliwe, chociaż na przeszkodzie stała bariera językowa. Wyjątkowo można było porozmawiać po francusku. Malgaszki znają język dawnego kolonizatora w takim stopniu, jak my język malgaski, czyli prawie nic.

Do roku 1975 w okolicy Ambinanindrano było 60 wspólnot katolickich, których nie można było odwiedzać po opuszczeniu misji przez misjonarzy. Chociaż misjonarz do wioski zachodzi rzadko, najwyżej cztery razy na rok, ale te odwiedziny stanowią dla nich zachętę i wspólnota trwa. Obecnie takich wspólnot, które nie przestały się zbierać na niedzielne modlitwy, pozostało 12. I te wspólnoty odwiedzą jeszcze w tym roku ci z naszej piątki, którzy tutaj wkrótce zamieszkają. Jest to najlepszy dowód, że obecność księdza jest potrzebna, aby życie religijne nie zanikało. 48 katolickich wspólnot należących do misji w Ambinanindrano umarło. Ile z nich odżyje? Po jakim czasie?

Po naszym przyjeździe niemal codziennie padało. W czasie popołudniowego deszczu w Niedzielę Wielkanocną Ojciec Lucjan okazywał szczególny niepokój. Zrozumieliśmy to w Poniedziałek Wielkanocny. Po odprawieniu Mszy Świętej wyruszyliśmy z misji pieszo do najbliższej wioski, niosąc pod płaszcami nasze plecaki, do samochodu, który stał na drodze gotowy do drogi. Przez dwie godziny jechaliśmy pierwsze 10 km, dwukrotnie przekopując pobocze w celu odprowadzenia wody z kolein. Korzystaliśmy z pomocy młodzieńców, dla których nie było miejsca w naszym samochodzie, ale którzy na pieszo za nami nadążyli. Również drugi odcinek drogi okazał się trudniejszym ze względu na obfite deszcze padające przez kilka poprzednich dni. Od promu światelko sygnalizowało brak oleju w silniku, więc wstąpiliśmy do

misyjnego ośrodka rolniczego Marotsiriry. Przyjęto nas bardzo gościnnie, jak zawsze. Pomimo spóźnionej pory dano nam obiad. Brat dolał oliwy do pełna, chociaż niewiele weszło. W domu byliśmy o godzinie 14³⁰ przejeżdżając 70 km w siedem i pół godziny. I tutaj dopiero zauważyliśmy brak błotnika przy naszym samochodzie. Nikt z nas nie pamiętał, abyśmy w coś uderzyli i nikt nie zauważył, gdzie straciliśmy ten błotnik. Na miejscu też stwierdzono, że nie brakowało oleju. Z powodu przepalenia się żaróweczki niewłaściwie została odczytana lampka kontrolna, że zepsuła się prądnicą i przestała ładować akumulator, stąd fałszywy alarm.

Jestem zadowolony z postawy ludzi, wśród których mamy pracować i mieszkać: serdeczni, gościnni, życzliwi, wyrozumiali. Wyposażenie kościoła i liturgia odpowiada naszym polskim gustom. Klimat w Ambinanindrano jest mniej wilgotny i chłodniejszy, niż na wybrzeżu. Książki są w lepszym stanie, niż w Mahanoro, więc i nasze ciała powinny lepiej się konserwować. Nocą pod jednym kocem było za chłodno, na szczęście w skrzyniach z Polski są po trzy koce na każdego z nas. Rano miałem we włosach trawę z poduszek. Zauważyłem także, że sandały z Polski nie nadają się na gliniaste drogi. Potrzebne obuwie lekkie, płócienne, może tenisówki lub trampki, których nie włożyliśmy do skrzyń. W obuwiu skórzanych ślizgałem się idąc po błocie lub mokrej glinie. Przydałyby się też liczniejsze koszule z długim rękawem i cienkie sweterki czy pulowerki. W Polsce myślałem, że jadę do tropiku, ale ten tropik okazał się bardzo chłodnym.

Moją misją będzie Marolambo (czyli „dużo dzikich świń”), 60 km za Ambinanindrano. Droga podobno jeszcze trudniejsza, a skoro potrzebowaliśmy ponad 7 godzin na pokonanie 70 kilometrów, jest rzeczą niemożliwą przebyć całe 130 km. w jeden dzień. Misja Ambinanindrano będzie służyła za punkt oparcia, zaopatrzenia i zatrzymania się na noc. Nie można także zamieszkać tam przed otrzymaniem solidnego samochodu. Ale przyjaciele o nas myślą, jeden land-rover dla misji w Ambinanindrano jest już w drodze, a Miva nas powiadomiła, że drugi land-rover dla misji w Marolambo dośle nam w ciągu tego roku. Mając samochód lepiej dostosowany do terenu nie powinniśmy mieć problemów z dojazdem.

W Poniedziałek Wielkanocny zapomnieliśmy o polskim zwyczaju nie licząc zmoczonego ubrania przez deszcz przy pchaniu samochodu. Późnym popołudniem, przy kawie, w piątkę, dzieliliśmy się wrażeniami i nabytym doświadczeniem. Kuchnia malgaska nie powinna być problemem, w wioskach do ryżu dodają kurę i malgaskie sałaty. Popija się wodą z ryżu, która jest bez smaku, ale gasi pragnienie. Możemy odprawiać Mszę Świętą i spowiadać, a więc już staliśmy się pożyteczni dla tych ludzi. I to jest najważniejsze, chociaż nie odważyłbym się ani przeprowadzić katechezy, ani wygłosić kazania.

Trudności gospodarcze są i na Madagaskarze. Co prawda, kartek tu nie ma, ale niektóre artykuły są możliwe do kupienia w małych ilościach. Masła nie można długo przetrzymywać, nie ma białego polskiego sera czyli twarożku. Gdy pewna Polka w stolicy próbowała zrobić z prawdziwego i świeżego mleka krowiego, serek nie był zjadliwy i nikt nie wymyślił przyczyny, dlaczego stał się niesmacznym. Kto chciał, jeszcze w marcu mógł wykupić przydział masła: najmniejsza porcja wynosiła 10 kilogramów, czyli 40 opakowań. Teraz nawet na Biskupstwie zabrakło tego produktu. Najgorzej mają Francuzi, gdyż od trzech miesięcy w sklepach nie ma też serów, a Francuz nie zakończy obiadu, jeśli nie zje jednego z trzystu sześćdziesięciu pięciu gatunków sera.

Skończywszy kurs oficjalny języka malgaskiego czyli gramatyki malgaskiej, każdy z nas uczy się indywidualnie, powtarzając przerobiony materiał. Jesteśmy świadomi, że nie jest łatwo pamiętać o wszystkich gramatycznych formułkach chcąc precyzyjnie wypowiedzieć swoje myśli. Nawet nieprecyzyjnie jeszcze jest trudno. Dużą pomocą są rozmowy z dziećmi, które nieraz po Mszy Świętej specjalnie dochodzą do tego z nas, który niepoprawnie coś przeczytał. Nie ma w tym złośliwości. Jest to forma życzliwości, która może ujawnić się w różnorodnej postaci.

I to by było dzisiaj na tyle. W następnym liście opiszę nasze bezpośrednie przygotowanie do pracy misyjnej pod kierunkiem Księdza Biskupa i Wikariusza Generalnego, którzy już zapowiedzieli swój przyjazd.

Z serdecznym pozdrowieniem

PS. A czy wiesz, co może stać się pechowemu człowiekowi w piątek, który przypada trzynastego dnia miesiąca? Jednemu w drewnianym kościele spadła cegła na głowę, innemu trzeba było zatruwać nerw w sztucznym zębie. A co ciekawego Tobie się przydarzyło w takim dniu?

* * * * *